



TIM
WEAVER

Bez ostrzeżenia

NIKT NIC NIE WIDZIAŁ, NIKT NIC NIE SŁYSZAŁ...

15 czerwca

Healy zatrzymał samochód przed blokowiskiem i spojrzał na odczyt temperatury. Dwadzieścia stopni, miał jednak wrażenie, że jest cieplej. Włączył klimatyzację, ruszając z posterunku, ale gdy dotarł na miejsce, nie zrobiło się ani trochę chłodniej. Choć podwinął rękawy i rozpiął górny guzik koszuli, w samochodzie nadal panowała duchota. Skwar nie odpuszczał nawet w środku nocy, pod osłoną ciemności.

Wyrzał przez okno mercedesa na rozciągający się labirynt zaniedbanych domów. Najbardziej niebezpieczna z londyńskich dzielnic mieszkaniowych wydawała się pogrążona w stanie hibernacji. W oknach nie paliły się światła, na alejkach nie było dzieci, grupki wyrostków nie snuły się w przejściach między budynkami. Po chwili, gdy na miejsce przybyło więcej oznakowanych radiowozów, a policyjne koguty zabarwiły ściany dziesięciopiętrowych betonowych bloków, dostrzegł w mroku ludzkie postacie obserwujące go z zaciemnionych okien i drzwi.

Wysiadł. Z lewej strony, za taśmą policyjną, rozłożyli się spoceni reporterzy w koszulach z krótkimi rękawami i reporterki w letnich sukienkach. Istny chaos. Dziennikarze przepychali się, by zająć jak najlepszą pozycję. Stopy ślizgały

się po porośniętych trawą pochyłościach. Zgiełk. Światła. Głosy wykrzykujące jego imię. Kiedyś taka sława sprawiała mu przyjemność. Niektórzy gliniarze to lubili. Ale gdy spojrzął w kierunku wejścia do budynku, złowrogiego i mrocznego niczym rozwarta paszcza, gotowa go pochłonąć, zrozumiał, że wszystko to jest sztuczką. Nie był żadnym pieprzonym celebrytą. Stał nad przepaścią, w podmuchach huraganu. Stał nad przepaścią, a tamci byli tuż za nim. Jeśli to się nie skończy, jeśli sytuacja jeszcze się pogorszy, jeśli policja nie schwyta sprawcy, przedstawiciele mediów koczujący w pobliżu następnego miejsca zbrodni rzucą go na pożarcie ciemności, która rozciąga się po drugiej stronie.

Przeciął betonowe podwórko, podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Wszystko było zniszczone lub popękane, jakby domostwo miało lada chwila runąć pod własnym ciężarem. Podłoga była śliska od wody, która ciekła nie wiedzieć skąd, rozwalone, wiszące na zawiasach drzwi w głębi korytarza prowadziły do pierwszej grupy mieszkań. Wszędzie walały się śmieci. Niektórzy ludzie nigdy w życiu nie oglądali takiego miejsca — budynku o dwustu mieszkaniach, rozpaczliwie wzywającego pomocy. Miejsca, gdzie nawet najczarniejsza noc nie zdoła ukryć wszystkich sińców.

Przed schodami, na prawo od Healy'ego, stał funkcjonariusz z podkładką na dokumenty. Podniósł głowę i oświetlił go latarką.

— Dobry wieczór, proszę pana.

— Dobry.

— Winda nie działa.

Healy spojrzął w kierunku kabiny. Na drzwiach przyklejono ostrzeżenie, że używanie windy nie jest bezpieczne. Obok, na wilgotnej, pokrytej pęcherzami ścianie, ktoś wymalował sprayem strzałkę i słowa „ekspresowa winda do piekła”.

Pokazawszy policjantowi legitymację, Healy wdrapał się na

trzecie piętro schodami pogrążonymi w półmroku. Wszędzie cuchnęło jak w toalecie. Pod butami chrzęściło szkło z rozbitych celowo żarówek. Na podeście trzeciego piętra pojawili się pierwsi ludzie — gliniarze i technicy kryminalistyki — tworząc linię wijącą się niczym wąż do mieszkania pod numerem trzysta dwanaście. Kobieta technik ukazała się w drzwiach, żeby podać Healy’emu biały papierowy kombinezon i rękawiczki.

— Proszę to włożyć — powiedziała. — Zatrze pan mniej śladów.

Healy wykonał polecenie.

W mieszkaniu ustawiono kilka pojedynczych reflektorów, których światło oblewało także korytarz. Z wnętrza dobiegał szum generatora, poza tym panowała cisza. Tylko co jakiś czas słychać było pstrykanie aparatu fotograficznego, pomruki kogoś z ekipy kryminalistycznej, przelotne hałasy z innych mieszkań. I nic więcej.

Po zapięciu kombinezonu i naciągnięciu kaptura Healy wszedł do środka. Lokal przypominał te, w których mieszkały inne ofiary. Zniszczone. Zanedbany. Zawilgocony. W kuchni połączonej z salonem linoleum szpeciła wielka brązowa plama od wody. Healy spostrzegł rozglądającą się po mieszkaniu detektyw nadinspektor Melanie Craw. W drzwiach prowadzących z salonu do sypialni, naprzeciw łóżka, stał komendant policji Ian Bartholomew. Odwrócił się i spojrzał na Healy’ego z gniewnym wyrazem twarzy, a później przeniósł wzrok na Craw, która nadeszła z kuchni.

— Melanie — warknął — co, do cholery, mam powiedzieć dziennikarzom?

Wycofał się z sypialni, pozwalając Healy’emu wejść do środka. Miejsce zbrodni. Mała sypialnia z niewielką garderobą, komoda i telewizor na krześle w rogu pokoju. Wytarty dywan, tapeta odpadająca od ścian. Na poduszce schludnie ułożono

włosy ofiary. Zgolił je całe, jak pozostałym. Zgolił i zostawił.
Na materacu powinno być ciało.

Właśnie na tym polegał problem.

Nigdy nie zostawiał ciała.

1

12 czerwca

Jej biuro znajdowało się na ostatnim piętrze czterokondygnacyjnego budynku z czerwonej cegły przy Shaftesbury Avenue. Inne piętra należały do agencji reklamowej i wielkiej międzynarodowej firmy medialnej. Dwoje szklanych drzwi wyposażonych w zamek szyfrowy chroniło pracowników przed światem zewnętrznym, ochroniarz postury zapaśnika strzegł wejścia od środka. Inne firmy działające przy tej ulicy znajdowały się w stanie agonii lub dawno umarły. Dwa puste sklepy — jeden obuwniczy, drugi z antykami — zwinęły się wiele lat temu. Obok znajdowały się zabite płytami okna włoskiej restauracji z ogromnym napisem „Zamknięte”. Ostatnim przyczółkiem była wypożyczalnia wideo wyglądająca tak, jakby weszła w okres schyłkowy. Dwaj mężczyźni kłócili się w niemal pustym pomieszczeniu, w którym znajdował się jeden stojak z płytami DVD, a ściany zdobiło kilka wypłowiałych plakatów filmowych.

Był ciepły czerwcowy wieczór. Słońce prażyło cały dzień, choć czuło się nadciągający deszcz. Zabrałem kurtkę, na wszelki wypadek, ale teraz miałem na sobie jedynie czarną koszulę zapinaną na guziki, džinsy i czarne skórzane buty,

które kupiłem we Włoszech. Markowe, ze słynnego mediolańskiego pasażu handlowego Galleria Vittorio Emanuele. Rzadko je nosiłem, bo miałem wrażenie, że jedynym celem ich istnienia było kaleczenie mi stóp. Jednak dla kobiety, z którą miałem się spotkać, warto było ponieść ofiarę.

Piętnaście minut później Liz ukazała się w drzwiach jednej z wind w holu. Ludzie wychodzili z budynku od siedemnastej. Ponieważ Liz była szefem biura, w którym pracowała, zwykle wychodziła ostatnia. Natychmiast dostrzegła mnie w drzwiach nieczynnego sklepu z antykami. Wyglądała jak zwykle zachwycająco. Jej ciemne oczy lśniły, kiedy się uśmiechała, a długie czekoladowe włosy zaczesane do tyłu układały się w naturalne loki. Adwokat Elizabeth Feeny prosperowała w mieście, w którym roiło się od dominujących mężczyzn: występowała przeciwko grubym rybom i wygrywała, odbierała im klientów i umiała ich przy sobie zatrzymać. Stworzyła imponujący zespół prawników pod szyldem Feeny i Spółka i poprowadziła kilka głośnych spraw, dzięki którym zyskała renomę. Miałbym kłopot, żeby nie ulec jej urokowi, nawet gdybym nie spotykał się z nią od ośmiu miesięcy i nie mieszkał obok jeszcze dłużej. Wyglądała jak szefowa kancelarii prawniczej, kiedy przechodziła przez ulicę w białej bluzce i czarnej ołówkowej spódnicy, podkreślającej subtelne krągłości jej ciała. Jednak największym atutem Liz było to, że gdy się do ciebie uśmiechnęła, czułeś się tak, jakbyś był jedyną osobą w pokoju. Bardzo przydatna umiejętność na sali sądowej.

— Witam, panie Raker — powiedziała i pocałowała mnie w policzek.

— Elizabeth.

Wymierzyła mi delikatnego klapsa, bo nie lubiła, gdy tak się do niej zwracałem. Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem w czubek głowy.

— Jak minął dzień? — spytałem.

— Spotkanie za spotkaniem.

Przez chwilę staliśmy nieruchomo, co było dla nas czymś nowym. Od czasu, gdy moja żona Derryn zmarła na raka piersi, minęło dwa i pół roku, a byliśmy ze sobą prawie szesnaście lat. Liz wyszła za mąż w wieku dwudziestu jeden lat, zaszła w ciążę sześć miesięcy później i wkrótce potem wzięła rozwód. Dwa lata wychowywała samotnie swoją córeczkę Katie, a później wróciła na studia prawnicze i zdobyła uprawnienia adwokackie. Przed poznaniem męża nie chodziła z nikim na poważnie.

— Dokąd mnie zabierzesz? — zapytała.

— Znam pewną włoską restaurację — odparłem, odwracając ją w kierunku lokalu kawalek dalej.

Uszczypnęła mnie.

— Żartowniś z ciebie, Raker.

— Zarezerwowałem stół w południowoafrykańskiej restauracji przy Covent Garden. Będziemy mogli się upić piwem Castle Lager.

— Południowoafrykańskiej?

— Jadłaś kiedyś *bobotie*?

— Nie sądzę.

Ruszyliśmy przed siebie wolnym krokiem.

— W takim razie to twój szczęśliwy wieczór.

□ □ □

Restauracja zajmowała wąską piwnicę w bocznej uliczce między Stranem i rynkiem Covent Garden. W murach z kamienia były wnęki, w których ustawiono oprawione w ramki fotografie z Republiki Południowej Afryki. Najbliżej naszego stolika stało czarno-białe zdjęcie przedstawiające diabelski młyn z wesołego miasteczka Gold Reef City w Johannesburgu utrwalony na tle bezchmurnego nieba. W poprzednim życiu dziennikarza spędziłem niemal dwanaście miesięcy w

Johannesburgu i okolicach, dokąd wysłano mnie przed wyborami w 1994 roku. W tym czasie było to zupełnie inne miejsce, przypominające bardziej strefę działań wojennych, z mieszkańcami miotanymi strachem i nienawiścią.

Liz pozwoliła, żebym wybierał, więc zamówiłem dwie butelki piwa Castle, kurczaka *peri-peri* na początek oraz *bobotie* — zapiekankę z mięsa mielonego z przyprawami i polewą z jajek — jako danie główne. Gdy czekaliśmy na jedzenie, Liz opowiedziała mi ze szczegółami o swoim dniu, a ja zrewanżowałem się jej o wiele krótszą relacją. Kilka dni temu zakończyłem sprawę siedemnastolatka, który uciekł z domu i ukrywał się w pobliżu mostu Blackfriars. Jego rodzice, mieszkający na osiedlu domów komunalnych w Hackney, powiedzieli mi, że mają pieniądze, by zapłacić za trzydniowe poszukiwania. Odnalazłem go po pięciu, bo poszukiwania utrudniał fakt, że zbieg nie miał przyjaciół, prawie do nikogo się nie odzywał i zabrał ze sobą tylko jedno ubranie, które miał na grzbiecie. Żadnego telefonu. Żadnych kart płatniczych. Żadnych pieniędzy. Niczego, co pozostawiłoby choćby najmniejszy ślad. Spotkałem się z jego mamą i tatą. Powiedziałem, żeby zapłacili mi za trzy dni i zadzwonili, gdy zdobędą pieniądze na dwa pozostałe. Byli dobrymi ludźmi, ale nie sądziłem, że spotkamy się ponownie. Zwykle nie pracuję charytatywnie, lecz doszedłem do wniosku, że trudno byłoby mi zostawić tę sprawę nierozwiązaną.

Gdy na stole wyładowało *bobotie*, rozmowa zeszała na córkę Liz i zajęcia uniwersyteckie, które wybrała. Była na ostatnim roku ekonomii. Nie miałem okazji jej poznać, ale z opisów Liz i fotografii, które widziałem, wydawała się wiernym odbiciem matki.

Zamówiłem dwie kolejne butelki castle'a. Kiedy Liz ciągnęła swoją opowieść, dostrzegłem kobietę obserwującą mnie z drugiego końca sali. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, utkwiała

wzrok w talerzu. Patrzyłem na nią, czekając, aż ponownie zerknie w moją stronę, ale ona nie odrywała oczu od jedzenia, skubiąc swój stek. Odwróciłem się do Liz. Dziesięć sekund później kobieta znowu na mnie spojrzała.

Miała dwadzieścia kilka lat, rude kręcone włosy sięgające ramion oraz piegi na policzkach i nosie. Wyglądała na osobę, która nie zdaje sobie sprawy z własnej urody lub nie przywiązuje do niej większej wagi. Smukłe palce prawej ręki trzymały widelec, a palce lewej ujmowały lampkę z winem. Nosila obrączkę.

— Coś się stało? — zapytała Liz.

Kobieta ponownie odwróciła wzrok. Moja towarzyszka zauważyła, że na kogoś patrzę.

— Znasz dziewczynę w rogu sali?

Liz obejrzała się przez ramię.

— Nie, nie sędzę.

— Ciągłe się na nas gapi.

— Nie mogę mieć do niej pretensji — rzuciła z uśmiechem Liz. — Jesteś przystojnym facetem, Raker. Nie mówię tego, żeby podbudować twoje ego czy coś w tym rodzaju.

Zabraliśmy się do jedzenia. Od czasu do czasu zerkałem w stronę rudowłosej, ale nasze oczy więcej się nie spotkały. Trzydzieści minut później nagle zniknęła. Stolik, przy którym siedziała, był pusty. Pozostały na nim jedynie niedokończony stek i niedopita lampka wina. Na białej tacy przy krawędzi stołu leżały pieniądze, a pod nimi rachunek.

I tyle.

2

Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, Liz odebrała telefon od klienta. Przewróciła oczami i oddaliła się do cichego miejsca we wnęce. Dałem jej znak, że spotkamy się na górze, kiedy skończy.

Deszcz, który od jakiegoś czasu wisiał w powietrzu, w końcu zaczął padać. Włożyłem kurtkę i schroniłem się w wejściu kawałek dalej. Ze stacji metra Covent Garden wyszła grupa ludzi. Kilka osób było uzbrojonych w płaszcze i parasole, ale większość miała na sobie T-shirty, bluzki, letnie spódniczki. Pięć minut później po swojej lewej ręce ujrzałem postać przemykającą w półmroku po drugiej stronie ulicy. Kiedy znalazła się bliżej, oświetliły ją światła pobliskiego pubu, zatrzymując jej twarz jak na stop-klatce. Wtedy ją rozpoznałem.

Nieznajoma z restauracji.

Przeszła przez ulicę i stanęła dwa metry ode mnie.

— Pan Raker?

Natychmiast rozpoznałem jej spojrzenie. Wielokrotnie widywałem je na twarzach rodzin, którym pomagałem. Straciła kogoś lub obawiała się, że to niebawem nastąpi. Miała młodą twarz i stare oczy, pełne bólu, co nadawało jej dziwny wygląd, jakby utknęła gdzieś pomiędzy — nie była młoda ani stara,

piękna ani brzydka. Jak kobieta, która się zagubiła.

— Proszę wybaczyć, że zwracam się do pana w taki sposób — zaczęła, odgarniając włosy za uszy. Wydawała się zdenerwowana. Jej głos był cichy, ale pełen napięcia. — Nazywam się Julia. Julia Wren.

— Czego pani chce, Julio?

— Ja... — Zawahała się, po czym sięgnęła do torebki przewieszanej przez ramię, wyjęła portfel i wyciągnęła z niego poskładany kawałek papieru. Kiedy go rozłożyła, natychmiast poznałem, co to takiego: komputerowy wydruk. — Czytałam o panu — powiedziała. — W internecie.

Trzymała w ręku artykuł ze strony BBC ze zdjęciem, na którym wyprowadzają mnie z posterunku policji pod eskortą detektywa, dwóch umundurowanych funkcjonariuszy oraz mojej prawniczki, Liz. Trzy dni wcześniej wdarłem się do gniazda zabójców i omal nie straciłem życia. Od tego czasu minęło półtora roku, ale nadal miałem na ciele ślady tej przygody.

Krażyły różne wersje tamtej sprawy. Wiele różnych wersji, bo nie udzielałem wywiadów, nawet ludziom, z którymi kiedyś pracowałem, wydzwanającym i błagającym o komentarz. Sprawa nabrała rozgłosu. Cały tydzień pisano o niej w krajowej prasie, dopóki nie umarła śmiercią naturalną, jak wszystkie nowiny. Dziś należała już do historii.

Ale nie dla tej kobiety.

— Od dawna mnie śledzisz, Julio?

Pokręciła głową.

— Nie.

Uwierzyłem jej. W restauracji natychmiast ją spostrzegłem, od razu zauważyłem też, kiedy zaczęła iść w moim kierunku na ulicy. Gdyby śledziła mnie od dłuższego czasu, z pewnością bym to odnotował. Śledzenie człowieka jest dużą sztuką. Jeśli za kimś idziesz, musisz jednocześnie być niewidzialny.

— Czytałam o tobie — ciągnęła, wskazując głową wydruk.
— Pisali o tym w prasie. Czytałam, co zrobiłeś, gdy znalazłeś to miejsce na północy. Jak próbowali zrobić ci krzywdę. I o tym, co... — urwała, spoglądając na blizny na moich palcach — co ci zrobili. Później wpadł mi w ręce inny artykuł, z ubiegłego roku. O mężczyźnie wytropionym przez policję. Tym, który porywał kobiety. Kiedy o tym przeczytałam, pomyślałam sobie: Ten człowiek może mi pomóc.

— Pomóc?

— Wierzysz w przeznaczenie?

Pokręciłam głową.

— Nie. Nie wierzę.

Moje słowa wybiły ją z rytmu, lecz po chwili odzyskała równowagę.

— Zobaczyłam ciebie i twoją... — Jej wzrok powędrował w kierunku drzwi restauracji. — Twoją przyjaciółkę. Przeszedłeś obok mnie. Ten sam człowiek, o którym czytałam w internecie. Musiałam to uznać za zrzącenie losu. Trochę cię okłamałam. Śledziłam cię, ale dopiero dziś wieczór, gdy cię ujrzałam. Poszłam za tobą do restauracji, bo chciałam się upewnić, że to ty. Gdy nabrałam pewności, zdałam sobie sprawę, że muszę z tobą pomówić.

— Czego ode mnie chcesz, Julio?

— Chcę, żebyś odnalazł mojego męża — szepnęła, krzyżując ręce na piersi. Miałem wrażenie, jakby na chwilę skuliła się w cieniu, pochylając głowę, garbiąc ramiona i przyjmując obronną postawę, na wypadek gdybym odmówił. — Pół roku temu wsiadł do wagonu metra na stacji Gloucester Road i od tej pory go nie widziałam.

3

Dwadzieścia minut później siedzieliśmy w kawiarence przy Long Acre. Liz wzięła mój samochód i pojechała do domu, idealnie maskując ciekawość. Spotykaliśmy się od ośmiu miesięcy, dlatego wiedziała, że zwykle postępuję nieco inaczej. Lubię się przygotować przed spotkaniem z rodzinami, ustalić, kim są i jakie mają korzenie. W przypadku Julii Wren nie wiedziałem niczego. Była jak pusta kartka.

Zamówiliśmy dwie kawy i usiedliśmy przy oknie. Krople deszczu na szybie rozmazywały neony, niebo było ciemne i nabrzmiałe. Julia położyła wydruk na stole i przytrzymywała go starannie wypielegnowaną dłonią, jakby się obawiała, że papier może sfrunąć na podłogę. Zwykle bliscy zaginionych tkwią zawieszeni pomiędzy oczekiwaniem a strachem: oczekiwaniem, że lada chwila ukochana osoba wróci do domu, i strachem, że przybędzie w worku na zwłoki.

Spojrzała na mnie, nawijając na palce kosmyk rudych włosów. Nie wiedziałem, czy jest z natury nieśmiała, czy tylko podenerwowana.

- Czytałam, że byłeś kiedyś dziennikarzem.
- W dawnym życiu.
- Lubiłeś tę robotę?

— Miała dobre strony.
— Dużo podróżowałaś?
— Zjeździłem kawał świata, ale przypominało to raczej urlop połączony z pracą zarobkową — odparłem z uśmiechem.

— Zdarzały się też wojny.
— Gdzie byłeś?
— Pięć lat z przerwami w Stanach. Odwiedziłem też Republikę Południowej Afryki przed wyborami i po nich. Do tego Izrael i strefę Gazy. Irak. Afganistan.

— Musiałeś wiele widzieć.
W mojej głowie natychmiast pojawił się obraz. Uciekam ulicą południowoafrykańskiego getta, żeby ratować życie. W powietrzu świszczą kule, na jezdni leżą ciała zabitych, otoczone gruzem i pyłem. Rynsztoki czerwienieją od krwi. Zawszad słysząc okrzyki bólu.

— Mam na myśli to — dodała — że wiesz, do czego są zdolni ludzie.

Zamilkła. Poruszała głową z boku na bok, jakby zastanawiała się nad następnym pytaniem. Wiedziałem, o co zapyta.

— Rzuciłeś pracę z powodu żony?
— Tak — potwierdziłem, nie tłumacząc nic więcej. — Możesz opowiedzieć o swoim mężu?

Pokiwiała głową i wyciągnęła zdjęcie z torebki.
— To Sam.

Facet dobiegał trzydziestki. Miał jasnoniebieskie oczy, jasne włosy i nos nieproporcjonalnie duży w stosunku do reszty twarzy. Pospolity, choć całkiem przystojny. Ubrany był w czarny garnitur z czerwonym krawatem. Stał przed drzwiami domu. Na oko miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i wyglądał bardzo szczupło. Garnitur źle na nim leżał. Zauważyłem zapadnięte policzki, a skóra wyglądała tak, jakby została zbyt mocno naciągnięta. Postanowiłem, że później ją o to zapytam. Ludzie mają niedowagę, bo są chorzy, za mało jedzą lub czymś

się martwią.

— Kiedy je zrobiono?

— Pół roku temu. Dziesiątego grudnia.

Przysunąłem sobie fotografię. W jednym z okien dostrzegłem odbicie choinki.

— Ile dni przed zniknięciem?

— Sześć. — Przerwała na chwilę. — Zaginął szesnastego.

Rocznie w Wielkiej Brytanii ginie około dwustu pięćdziesięciu tysięcy osób, z czego dwie trzecie to nastolatki. Następną grupę stanowią mężczyźni w wieku od dwudziestu czterech do trzydziestu lat. Sam Wren idealnie pasował do statystyk. Dorośli znikali najczęściej z całkiem oczywistych powodów — kłopotów w związkach, problemów finansowych, alkoholizmu, chorób psychicznych — o wiele trudniej było odgadnąć, w jaki sposób to wszystko zaplanowali. W wielu przypadkach zaginięcie zgłaszano po długim czasie, kiedy nie dawało się już podjąć śladu. Nawet jeśli było inaczej, jeśli zgłoszenia dokonano po jednym lub dwóch dniach, policja i tak była bezradna, bo tamci często zawczasu wszystko przygotowali, obmyślili drogę ucieczki i zadbali o zatarcie śladów. Sam zniknął pół roku temu. Spoglądając na fotografię, pomyślałem, że w chwili gdy ją wykonano, miał już dobrze obmyśloną strategię.

— Opowiedz mi o dniu, w którym zniknął — poprosiłem, wskazując zdjęcie.

Skinęła głową, ale na chwilę się zawahała. Tamtego dnia wszystko się zaczęło. Wtedy ich drogi się rozeszły. Skończy się na tym, że będzie ponownie leżeć w łóżku u jego boku lub stanie nad jego ciałem w kostnicy.

— Wyszedł nieco wcześniej niż zwykle — zaczęła cicho.

— Zazwyczaj wychodził z domu o siódmej dwadzieścia, siódmej trzydzieści. Tego dnia wyszedł o siódmej, najpóźniej siódmej dziesięć.

— Domyślasz się dlaczego?

— Powiedział, że ma dużo pracy. Nie było w tym nic niezwykłego. Często wychodził o tej porze, kiedy wiedział, że czeka go mnóstwo roboty.

— Czym się zajmował?

— Pracował w banku inwestycyjnym w dzielnicy Canary Wharf. Doradzał klientom, jak inwestować pieniądze... wiesz, akcje, obligacje, tego typu rzeczy.

— Jak się nazywa ten bank?

— Investment International. Kilka lat temu założył go facet, dla którego Sam pracował w firmie J.P. Morgan. Razem studiowali. Po zrobieniu dyplomu Sam podjął pracę w HSBC, ale nie był zadowolony, więc ten kolega pomógł mu znaleźć posadę u Morgana. Później namówił go, by przeniósł się do Investment International, gdy tylko rozpoczął działalność.

— Dobrze im szło?

Pokręciła głową.

— Nieszczęśliwie. Investment International to stosunkowo mała firma, więc mocno odczuli recesję. Wynagrodzenie Sama zamrożono pod koniec roku dwa tysiące dziesiątego, cofnięto wszystkie bonusy.

— Czy mimo to lubił swoją pracę?

— Była trochę stresująca, ale powtarzał, że lubi swoją robotę tak jak każdy z nas. Czasami wracał do domu i mówił, że ma dosyć, jednak następnego dnia, jeśli wszystko poszło dobrze, nastrój od razu mu się poprawiał. Szczerze mówiąc, niezbyt mnie to interesowało. Wszyscy mamy wzloty i upadki, lepsze i gorsze dni.

Ponownie spojrzałem na fotografię Sama: mizerna, wychudła twarz, na której malował się niepokój. Wiszący luźno garnitur. Może w jego przypadku złych dni było więcej niż dobrych.

— Czy w dniu zniknięcia zachowywał się inaczej niż zwykle?

— Nie, a jeśli nawet, to różnica była tak niewielka, że jej nie dostrzegłam.

— Jak wam się układało?

— Dobrze — odpowiedziała, spoglądając w okno, a później przeniosła wzrok na moją twarz. Nie rozwinęła myśli. Siedziała i patrzyła na mnie, czekając, żebym podjął rozmowę, przeszedł do kolejnej kwestii. Wyraz jej twarzy nieco się zmienił: mięśnie stały się bardziej napięte i sztywne, jakby zacisnęła zęby.

Czyżby mnie okłamała?

Postanowiłem nie drażyć tematu, ale wrócić do niego później, gdy ją lepiej poznam i zrozumiem, czemu wykreśliła się od odpowiedzi.

— Gdzie mieszkasz?

— Kilometr od stacji metra Gloucester Road — powiedziała. — Pięć lat temu kupiliśmy mały dom przerobiony z dawnych stajni. Wtedy Sam otrzymywał jeszcze premie.

— Zatem mieszkasz tam nadal?

— Tak. — Zrobiła żalostną minę, jakby nie chciała mieszkać sama w domu, który razem kupili. — Pracowałam jako kierowniczką baru w Covent Garden. Zwykle, gdy Sam nie był zavalony pracą, szliśmy razem do stacji metra.

— Już tam nie pracujesz?

— Zwolnili mnie w marcu ubiegłego roku. — Przerwała i lekko się zaczerwieniła, jakby pomyślała, że wie, o co mi chodzi. — Nie martw się. Mam pieniądze, żeby ci zapłacić. Dostałam robotę w restauracji w Bayswater. Mam oszczędności. Odłożyliśmy trochę grosza na czarną godzinę. Chyba teraz nadeszła.

— Nie martwiłem się o pieniądze — zaprotestowałem, na co tylko pokiwała głową. — Jak długo byłeś bez pracy?

— Prawie jedenaście miesięcy.

— Zatem podjęłaś ją ponownie na początku tego roku. W styczniu?

— Tak, szesnastego.

Trzydzieści jeden dni po zniknięciu męża. Pomyślałem, jak musiała się czuć, zaczynając nową pracę i otwierając nowy rozdział życia, kiedy najważniejsza część poprzedniego odplynęła w siną dal.

— Jak sobie radziliście finansowo, kiedy nie miałaś pracy? Wzruszyła ramionami.

— Kupiliśmy dom za premie Sama, ale nadal mieliśmy do spłaty ogromną hipotekę, nawet jak na londyńskie standardy. Nagle jego wynagrodzenie zostało zamrożone, nie przynosił do domu nic więcej, a ja straciłam jedyne źródło dochodów. Można ograniczyć jadanie na mieście, zakup nowych ubrań i weekendowe wyjazdy, ale nie można żyć bez domu. Najbardziej obawialiśmy się, że nie będzie nas stać na spłacanie hipoteki.

— A teraz?

Zmarszczyła brwi.

— O co ci chodzi?

— Możesz spłacać ją sama?

— Sam zniknął, ale nie zabrał żadnych pieniędzy. Od dnia zniknięcia nie podjął ani pensa. Pieniądze odłożone na czarną godzinę wystarczą mi jeszcze na trzy, cztery miesiące.

— Co będzie później?

Uśmiechnęła się smutno.

— Liczę na to, że znajdziesz mojego męża.

Jeśli sądziła, że odnalezienie Sama rozwiąże wszystkie problemy, czekało ją gorzkie rozczarowanie. Bo jeśli facet zniknął z jakiegoś powodu, oznaczało to, że dobrowolnie zrezygnował ze swojego małżeństwa, wziął rozbrat z pracą i dawnym życiem. Nie istniało błyskawiczne rozwiązanie. Nawet gdybym odnalazł go żywego, nigdy nie będzie tak samo jak przedtem.

Zmieniłem temat rozmowy.

— Zakładam, że jeździł ze stacji Gloucester Road do stacji Westminster, a następnie przesiadał się na linię Jubilee? A może wsiadał do pociągu DLR* na stacji Tower Hill?

— Przesiadał się na stacji Westminster.

— Jeździł linią Circle czy District?

— Circle.

— Nigdy nie korzystał z linii District?

— Rzadko.

— Dlaczego?

— Sam odszedł z HSBC między innymi dlatego, że nie lubił ludzi, z którymi tam pracował. Nie był to wielki konflikt interesów, zwyczajnie nie mógł się do nich przekonać. Ani do sposobu, w jaki pracowali. Czasem kogoś poznajesz i od pierwszej chwili wiesz, że się nie dogadacie.

Przytaknąłem.

— Dlatego zaczął szukać innej roboty i dlatego przeniósł się do JPM, żeby pracować ze swoim przyjacielem z uniwersytetu. — Spojrzała na mnie i odczytała pytanie malujące się na mojej twarzy: „Rozumiem, ale dlaczego nigdy nie korzystał z linii District?”. — Trzech z nich mieszkało w dzielnicy Wimbledon — wyjaśniła.

— Korzystali z linii District?

— Tak.

— Przecież szansa, że na siebie wpadną, była minimalna.

Wzruszyła ramionami.

— Sam przyzwyczał się do linii Circle.

— Myślisz, że ci faceci mogą mieć coś wspólnego ze zniknięciem twojego męża?

Pokręciła stanowczo głową.

— Nie. To nie było nic poważnego. Po prostu nie potrafili

* Docklands Light Railway — sieć sterowanych pociągów obsługujących rejon wschodniego Londynu.

się dogadać, Sam miał tego dość.

Zanotowałem, co powiedziała.

— Kiedy zgłosiłaś jego zaginięcie?

— Wieczorem szesnastego grudnia. Nie wrócił do domu, nie odbierał komórki, a jego szef nagrał się na automatyczną sekretarkę, pytając, co się z nim dzieje.

— Tego dnia nie pojawił się w pracy?

— Nie.

— Poszłaś na policję?

— Tak. Byli bardzo skrupulatni. Pytali o jego przyjaciół, krewnych, przebyte choroby, sytuację finansową. Przyszli nawet obejrzeć dom i zabrali szczoteczkę do zębów, żeby pobrać próbkę DNA. Kiedy powiedziałam im, że nie zjawił się w pracy, funkcjonariusz oświadczył, że przejrzy nagrania z telewizji przemysłowej na stacjach metra.

— Znalazł coś?

— Nie. Zadzwonił z wiadomością, że poprosił o nagrania dyrekcję londyńskiego metra. Minęło kilka tygodni, ale więcej się nie odezwał. Postanowiłam sama go odnaleźć. Zostawiłam mu wiadomość. Oddzwonił po kilku dniach. Powiedział, że od tamtej pory niczego nie znaleźli.

— Absolutnie niczego?

— Stwierdził, że Sam nie wysiadł z pociągu.

— Nie był tym zaniepokojony?

Spojrzała na mnie ponuro.

— Nie wiem.

— Jak się nazywał?

— Posterunkowy Westerley. Brian Westerley.

Wszystko wskazywało na to, że w sprawie zniknięcia Sama nie wytoczono dział najcięższego kalibru, bo i nie wzbudziła ona większego zaniepokojenia policji metropolitalnej. Facet dobiegający trzydziestki, dobra praca, szczęśliwe małżeństwo, dodatnie saldo na rachunku, brak chorób psychicznych. Nie

istniał żaden oczywisty powód jego zniknięcia, a to oznaczało, że do jego odnalezienia trzeba by więcej ludzi i środków. Byłem świadkiem użycia całej potęgi, jaką dysponuje policja, kiedy bez śladu zniknęła siedemnastoletnia dziewczyna. W tamtym przypadku odhaczono jednak trzy bardzo ważne pola: biała, kobieta i nieletnia. Historia Sama była zupełnie inna. Żadnego nacisku ze strony mediów, żadnych wielkich nagłówków w gazetach. Przekazali jego sprawę posterunkowemu i poczekali, aż przycichnie.

Mimo to pozostawało jedno wielkie pytanie: jak to możliwe, że facet wsiadł do pociągu metra i więcej z niego nie wysiadł? Może nie zaintrygowało ono Westerleya na tyle, by poszukać odpowiedzi, ale mnie nie dawało spokoju.

— Zadzwońię do posterunkowego Westerleya i wysłucham tego, co ma do powiedzenia.

— Mam nadzieję, że okaże się pomocny.

Wątpię, odpowiedziałem jej, choć tylko w duchu. Policja nie lubi, gdy ktoś z zewnątrz węszy i próbuje rozwiązać jedną z ich spraw, nawet jeśli chodzi o kogoś tak mało znaczącego jak Sam Wren. Detektyw, z którym często współpracowałem jako dziennikarz, trzymał w swojej kartotece teczkę opatrzoną literami MTD, czyli „Mam to w dupie”. Przepadały w niej bez wieści sprawy zaginięcia mało ważnych osób, narkomanów i recydywistów. Nigdy jednak nie spotkałem gliniarza, który nie zgrywałby zapracowanego i przejętego robotą, w chwili gdy w polu widzenia pojawiał się wścibski obcy.

— Czy Sam ma rodzinę?

— Brata. Roberta.

— Mieszka w Londynie?

— Pracuje w City, ale mieszka w Reading.

— Będzie mi potrzebny jego adres.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła notes. Była dobrze przygotowana. Miała gotowe odpowiedzi na pytania, których

jeszcze nie zadałem. Otworzyła notes, znalazła odpowiednią stronę, a następnie wydarła kartkę i położyła przede mną. Była na niej lista nazwisk ponumerowanych od jednego do piętnastu: lista najważniejszych osób w życiu Sama. Obok każdego nazwiska zapisała pełne dane kontaktowe.

— To wszyscy, którzy przyszedli mi do głowy — powiedziała.

Przy poszczególnych osobach umieszczono także informacje dotyczące „związku z Samem”. Na pierwszym miejscu był jego brat, a po nim przyjaciele i koledzy z pracy.

— Świetnie — odparłem z uśmiechem.

— Jeśli przyjdzie mi do głowy ktoś jeszcze, dam ci znać. Złożyłem kartkę.

— Chciałbym się rozejrzeć po waszym domu.

Skinęła głową.

— Kiedy zechcesz.

— Jutro?

— Pracuję na ranną zmianę. Wrócę około czternastej.

— Przyjadę o piętnastej. — Podała mi adres, a ja skrzętnie go zanotowałem. — Mogę to wziąć? — spytałem, dotykając palcem fotografii jej męża.

— Oczywiście.

Kiwnąłem głową w podziękowaniu i przysunąłem zdjęcie do siebie. Chciałem obejrzyć ich dom między innymi po to — oprócz tego, że miałem taki zwyczaj, by lepiej poznać ludzi, którym staram się pomóc — żeby sprawdzić, czy nie ma starszych fotografii jej męża. Chciałem zobaczyć, jak wyglądał. Czy zawsze był taki szczupły, jak w ostatnim czasie.

Mój zegarek cicho zadzwonił. Dwudziesta trzecia.

— Jeszcze tylko jedno — rzuciłem. Deszcz ustał i ogarnęła nas dziwna cisza. Krople przestały bębnić o szyby, ludzie zniknęli z ulicy. Popatrzyła na mnie z oczekiwaniem. — Jeśli mam się zająć tą sprawą, nie może być między nami żadnych sekretów.

Spojrzała na filizankę i ponownie podniosła oczy.

— Jakich sekretów?

— Jakichkolwiek. Muszę wiedzieć, czy mieliście problemy, czy Sam borykał się z trudnościami. Pamiętaj, że nie chcę cię osądzać, tylko odnaleźć Sama.

Milczałem chwilę, pozwalając, żeby chwyciła przynętę.

Nie podjęła tematu.

Wiedziałem, że jeśli mnie okłamała, prędzej czy później się o tym dowiem. Zawsze się dowiadywałem. Zwykle bliscy kłamali w błędnym przekonaniu, że dana informacja może wywrzeć wpływ na moją pracę. Jakby moje wyniki zależały od tego, jak idealny obraz swojego życia mi przedstawią. Niestety, prawda była inna: idealne życie nie istniało. Każdy miał sekrety.

Tylko niektórzy ukrywali je głębiej od pozostałych.